

1 : 0 CZYLI LUDZIE JAK BOGOWIE

Zawodnicy stają na starcie. Wszyscy mają równe szanse. Zaczyna się rywalizacja. W jej wyniku jedni będą zwycięzcami, inni przegranymi; jedni lepszymi, inni gorszymi. Z chaosu wyłoni się hierarchia, z bezładu klasyfikacja. Oto istota sportu.

„Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem (...) Wtedy Bóg rzekł: Niechaj się stanie światłość! I stała się światłość. Bóg wiedząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość dniem, a ciemność nazwał nocą. A potem Bóg rzekł: Niechaj powstanie sklepienie w środku wód i niechaj ono oddzieli jedne wody od drugich. Uczyniwszy to sklepienie, Bóg oddzielił wody pod sklepieniem od wód ponad sklepieniem; a gdy tak się stało, Bóg nazwał to sklepienie niebem...”¹

Akt rywalizacji sportowej przekształcającej nieorganizowane w zorganizowane, bezład w porządek, jest więc powtórzeniem aktu stwórczego. Tłumaczy to doskonale zarówno odwieczność sportu, jak i eksplozję jego popularności w naszych ześwieczonych czasach. W miejsce sakry królewskiej i uświęconych podziałów społecznych, wprowadziliśmy pojęcie ogólnoludzkiej równości. „Ludzie są oczywiście nierówni: jedni są młodzi, inni starzy, jedni silni, inni słabi, mądrzy i głupi, szlachetni, zbrodniczy i tak dalej. Mało jest więc zabobonów tak idiotycznych jak wiara, że ludzie są równi.”² — dixit J. M. Bocheński. Wiara w równość jest dziś wszakże narzuconym przemocą przymusem. Pod grozą marginalizacji jako rasiści, reakcyjniści, egoiści etc. jesteśmy sygnatariuszami zbiorowej umowy wiary w chaos. Sport staje się więc niezwykle istotnym wentylem bezpieczeństwa. To dzięki niemu stwierdzać możemy naocznie, że jednak jesteśmy lepsi, że jednak istnieje porządek na tym świecie, gdyż nasi tamtym dolożyli. Możemy bezkarnie śmiać się w nos mitycznej równości i odtwarzać ład na nowo. Liderzy byleż NRD — niebyswałego tworu wykrojonego dowolnie z narodowej tkanki — postanowili stworzyć nieistniejącą tożsamość, coś z niczego, poprzez sport. Pomysł błazeński? — Wcale nie. Raz wydzielona, bo sklasyfikowana w hierarchii, zyskała energię swoje miejsce pod słońcem. Z bezładu wyłonił się fakt.

Są dwa typy rywalizacji sportowej: indywidualna i zespołowa. W tej pierwszej istnieje oczywiście podział na zawodników „naszych” i „tamtych”. Jest to jednak opozycja płynna i ciągle zaburzana. Przede wszystkim nie zatarte są tu cechy jednostkowe sportowców — ich osobowość, styl, wygląd zewnętrzny... Utożsamienie kibica dokonuje się więc często, szczególnie w stosunku do indywidualności szczególnie ekspresywnych, jak np: Nicklaus, czy Ballesteros w golfie, Mc Enroe lub Nastase w tenisie, Hagler, Duran, Clay, Ray Leonard w boksie etc., niezależnie od dychotomii grupowych. Składnia do tego dodatkowo fakt, iż a priori „nasi” często walczą między sobą; w wielu zaś spektakularnych i popularizowanych przez środki masowego przekazu dyscyplinach (Formuła 1, żeglarstwo, boks) są „nasi” praktycznie nieobecni, co zmusza do szukania preferencji pomiędzy potencjalnie „tamtymi”. Nic więc dziwnego, że w wielu sportach indywidualnych (tenis, golf, jeździectwo, automobilizm) insygnia grupowe nie pojawiają się wcale lub też (kolarstwo, szermierka, łucznictwo, lekka atletyka) tylko w przypadkach specyficznych imprez. Zastępują je za to, coraz częściej, ewokujące mit Kopciuszka, listy plac zawodników. Cóż prywatniejszego od pieniądza! — Ego w znacznej mierze dominuje Nostri. Klasyfikacja ustanawiana przez sporty indywidualne staje się więc z powodu nakładania się wielu elementów nazbyt skomplikowana i nazbyt szczegółowa, by uruchomić prawdziwie masowe i żywiołowe reakcje.

„Na jedną tylko rzecz, nawet gdyby uważały ją za najistotniej-

szą dla swoich celów, nie uważają się ani ruchy studenckie, ani rewolty miejskie, ani najzjadlejsi nawet kontestatorzy: na najechanie boiska podczas niedzielnego meczu.

Sama już propozycja takiej akcji uznana zostanie za absurdalną kpinę. Spróbujcie ją przedłożyć: zaśmieją wam się w nos. Spróbujcie ją powtórzyć: uznają was za prowokatorów.

Hordy studentów mogą zabawiać się w niszczenie koktajlami Molotowa samochodów jakiegokolwiek policji. Ze względu na rację stanu, prestiż państwa, wymogi jedności narodowej... represje będą stonowane, więc i starcia nie nazbyt krwawe: czterdziestu zabitych, co najwyżej. Natomiast atak na stadion podczas meczu spowoduje natychmiast straszliwą i ślepą masakrę dokonaną przez obywateli porażonych miarą zniewagi, którzy nie mając nic ważniejszego do obrony, niż owo najwyższe, pogwałcone prawo, gotowi byłiby do generalnego linczu.

Spróbujcie zająć katedrę: biskup będzie oczywiście protestował, znajdzie się paru oburzonych katolików, ale także popierających rzecz dysydentów; lewica będzie wyrozumiała, antyklerykałowie koniec końców zadowoleni. Albo zajmijcie siedzibę którejkolwiek z partii politycznych: inne parite — pokrewne czy nie — myśleć będą naprawdę, że dobrze tamtym tak, mają na co zasłużyć. Gdyby jednak ktokolwiek targnął się na stadion, liczyć nie mógłby na niczyją solidarność: Kościół, lewica, państwo, palestra, Chińczycy, Liga Kobiet, anarchiści, związkowcy... potępiłby zbrodniarza jednogłośnie. Istnieje więc taka strefa wrażliwości społecznej, której podrażnić — czy to z przekonania, czy z oportunistu, nie poważy się nikt. Istnieje więc taka najgłębsza struktura społeczna, której spójność nie może być naruszona bez zagrożenia wszelkich form życia zbiorowego i w konsekwencji samej obecności ludzkiej na tym świecie.”³

Owa „struktura” to podług Umberto Eco sporty zespołowe. Jest rzeczą ogólnie znaną, że Eco — publicysta, lubuje się w paradoksie i retorycznej przesadzie. Od czasu jednak ukazania się w „Quindici” jego wyżej cytowanego artykułu, miały miejsce wydarzenia na Heysel, w Bogocie, w Leeds, w Cali...

Najistotniejszą cechą sportów zespołowych jest ich emblematyczność. Co przez nią rozumiem? — Oto skład reprezentacji narodowej Francji w piłce nożnej podczas „Turnieju Francuskiego” 1988: Martini — Amoros, Ayache, Boli, Kastendeuch — Casoni, Fernandez, Ferreri, Passi — Stopyra, Fargeon. Znajdujemy tu trzech imigrantów włoskich: Martini, Ferreri, Casoni; dwóch hiszpańskich: Amoros, Fernandez; jednego Polaka: Stopyra, Żyda: Ayache, murzyna: Boli; pół—araba: Passi i tylko dwóch Francuzów, z których jeden (Kastendeuch) jest wszakże — o ironio — Alzackczykiem, drugi zaś (Fargeon) ma również obywatelstwo szwajcarskie. To samo powtarza się w drużynach klubowych, z tą tylko różnicą, że tutaj zbędna jest uciążliwa formalność naturalizacji. Olympique Marsylia: Olmeta — Amoros, Boli, Moser, Di Meco — Stojkovic, Cantona, Vercruysse — Waddle, Pelé, Papin. Jest tu przedstawiciel Ghany: Pelé, Anglii: Waddle, Jugosławii: Stojkovic, Wybrzeża Kości Słoniowej: Boli, Brazylii: Mozer... Pozostaje jedyny rodzimy rodzynek — Papin — ale i on także nie z południa kraju rodem. W Polsce nie mającej prawie środków na zakup zawodników zagranicznych (jedynie Marozzi w „Śląsku”, Michajłow w „Motorze”, Niefiodow, Słodownikow w „Jagiellonii” Anaszkina, Kaniszczew w „Pogoni” i paru innych) zjawisko sytuuje się na innym nieco poziomie: policzmy — ilu jest warszawiaków w „Legii”, ilu lubinian w „Zagłębiu” Lubin...

Tego samego, szanownego, obywatela miasta Lublina, który na określenie murzyna nie znajduje innych słów, niż: „asfalt”, „goryl”, „smoluch”, nie raził zgola czarny koszykarz „Startu”

— Kent Washington. Był przecież „nasz”. Podobnie francuski burżuazjant gardzący imigrantami i wszelkiego rodzaju mieszkańcami (meteques), gdy tylko włożą odpowiednią koszulkę zauważać przestaje kolor skóry Boli, Trésora, Touré, Pelé, Fofany, Weah’a, Omam-Biyika etc. Nikną nagle uprzedzenia regionalne, społeczne, nawet estetyczne (naga czaszka Ben Mabroucka, pleręza Ziobra, homoseksualny look kostiumów Bella...). Emblemata znosi przeciwieństwa, wcielając oznaczonego całkowicie i nieodwołalnie (to znaczy, aż do zmiany barw) w grono „naszych”. „Naszych” w sensie mitycznym, pozbawionym jakichkolwiek konotacji realnych, uzyskującym za to wymiar mistycznej harmonii.

Mit przenosi się na trybuny. Połączeni komunią z tymi samymi, zapominamy o obowiązujących poza stadionem podziałach klasowych, wiekowych, płciowych, ekonomicznych... Razem krzyczymy, zrywamy się z miejsca, wypadamy sobie w ramiona po bramce. Jak starzy znajomi dyskutujemy, wymieniamy komentarze, klniemy i trącamy się butelkami piwa. Nie ma ciasnych gorsetów codziennego *savoir-vivre*. Znika wstyd. Pamiętam dziewczynę, którą całowałem w usta i w piersi po zwycięstwie Auxerre nad Bordeaux wiosną 1983. Trwa to jednak tylko do końcowego gwizdka lub ewentualnie wygaśnięcia pozwyckiego amoku. Żegnamy się obcy sobie jak przed meczem. Nie zobaczyłem już nigdy tamtej dziewczyny. Normalne życie przywraca swoje prawa. Koniec chaosu. Świat został znów stworzony.

To chwilowe zawieszenie praw społecznych charakterystyczne jest dla wielu świąt plemiennych typu karnawałowego, jakby powiedział Bachtin. Świąt, podczas których uczestnicy upoważnieni są do lekceważenia obowiązujących tabu, a nawet do odwracania sensu uświęconych reguł dnia codziennego.

To ostatnie tłumaczy zapewne szczególną popularność piłki nożnej, której sam już regulamin wspiera i ilustruje zasadę karnawału. Podstawą jest tu wszakże rezygnacja z posługiwania się w walce rękoma. Rzecz jednoznacznie i rażąco sprzeczna z naturą. Po francusku „poznaje się rękę” artysty w jego dziele, „wyrabia się rękę” czyli uczy profesjonalnego działania, „pożycza rękę” czyli wspomaga kogoś, atakuje się nie „martwą ręką” ale „ręką zbrojną” względnie „silną”, chwytą się sytuację „w rękę”, umiając wiele rzeczy ma się „wiele rąk” etc. Po polsku podobnie: załamuje się ręce, umywa je, leci przez nie, nosi na nich lub patrzy na nie, zostawia się wolną rękę, przychodzi z rękami pustymi lub pełnymi, idzie się komuś na rękę, ma się rękę szczęśliwą lub dwie lewe, trzyma się rękę na pulsie, przykładą się ją do czegoś, bierze sprawę w swoje ręce, podnosi się ręce na znak kapitulacji, „tymi rękami” buduje się szklane domy... Pozbawiony rąk może być godnym litości kaleką lub przewrotnym kpiarzem. Jeśli jednak postrzegany nie jest na żaden z tych sposobów, świadcząc to, iż znajdujemy się w kontekście ogólnego odwrócenia porządku świata, bo w ten dopiero wpisuje się logicznie wojownik dobrowolnie wyrzekający się instrumentu rąk.

A przecież nie jedyna to inwersja w piłce nożnej. Drużyny walczą zaciekle o opanowanie piłki. Celem ostatecznym tej walki jest jednak... zwrot zdobyczy do bramki przeciwnika, przekazanie jej w samo serce okupowanego przezeń terenu. Desmond Morris widzi w tym symbolikę „ukrytych łowów” — „gracze usiłują wyprzedzić jedni drugich, by pierwsi dokonać liturgicznej ofiary — strzelać w paszczę bramki.”⁴ Niestety, interpretacja taka nie wyjaśnia w niczym inwersji ręce : nogi, jedynej, która odróżnia football od piłki ręcznej, koszykówki, rugby etc. Tymczasem

Morris sam podkreśla, że „popularność piłki nożnej jest, w skali światowej, nieporównywalna z którymkolwiek innym sportem”. Dlaczego więc? Skojarzenie np. polo i łowów powinno być przecież o wiele łatwiejsze i bardziej sugestywne. Zaproponujemy inną odpowiedź, bardziej osadzoną w specyfice ukochanej naszej dyscypliny.

Życie społeczno-ekonomiczno-polityczne postrzegane jest najczęściej (na poziomie tak zwanego „zdrowego rozsądku” uczyniono z takiego spojrzenia istny paradygmat) jako nieustanna wojna mająca na celu przywłaszczenie sobie dóbr innego, innej grupy, innego narodu. Układy i prawa to tylko odwieczne preteksty. „Nie chcemy ginąć za ropę” — wołali pacyfiści w dniach wojny w Gólfie. W grze, która odzwierciedlałaby taki sposób myślenia, widzieć winniśmy dwa zespoły wyrwywające sobie piłkę i odnoszące ten symboliczny łup do siebie, do swoich włości, a więc dokonujące działań dokładnie przeciwnych tym, które obserwujemy na boisku. Uprawnione wydaje się więc przypuszczenie, że owa inwersja zdobyczy i daru, równoległa do nogi : ręce, ma swój głębszy symboliczny sens.

Jerzy S. Wasilewski analizował parokrotnie funkcje postaci bohatera—złodzieja pośredniczącego pomiędzy tym i tamtym światem. Najbardziej znanym z tych tricksterów jest dla nas oczywiście Prometeusz, ale podobne postacie odnajdujemy we wszystkich bodaj mitologiach. Nie wchodząc w detale i nie pretendując do syntezy à la Dumézil, wyszczególnić możemy trzy etapy działania trickstera:

1. Samotnie, dzięki szczególnym, nadprzyrodzonym najczęście, umiejętnościom, zbliża się on do magicznego miejsca.
2. Stawia czoło sile miejsca strzegącej (najczęściej potworowi: cyklopowi, wielogłowemu smokowi, bazyliškowi lub podstępny zasadzkom: ścianom ognia, szklanym górą, podchwyliwym zagadkom...).
3. Kradnie pożądaną obiekt i odnosi go do ojczyzny — do „naszego świata”.

Nietrudno spostrzec, że mecz piłkarski jest odwróceniem, a może semantyczną parodią tego mitycznego schematu:

1. Cała drużyna, kolektywnym wysiłkiem, wypracowuje jednemu ze „swoich” korzystną pozycję.
2. W decydującym momencie pokonać on musi jedyne normalnego (zgodnego z naturą) — używającego rąk bramkarza.
3. Piłka-łup pozostawiona zostaje na terytorium wrogim, na „tamtym świecie”.

Piłkarz strzelający bramkę jest więc anty-Prometeuszem zwracającym ogień Bogom. Jaki sens ma taka figura metaforyczna? — Otóż świat został już przez Bogów raz stworzony i ustanowiony. Gdyby jednak zachować go w pierwotnym ładzie, człowieczeństwo straciłoby cel i rozmyło się w bezprzedmiotowości. Stąd bunt Adama i Ewy. Trzeba więc odtworzyć chaos, by móc powtórnie dokonać aktu stworzenia, choćby nie na kosmiczną, ale społeczną tym razem skalę.

Oto prawdziwa, najgłębsza stawka sportu.

Jedna z drużyn zejdzie z boiska zwycięska i dzieląc ze „swoimi” barbarzyńską liturgię triumfu i klasyfikacji, uczyni ich lepszymi, mieszkańcami środka świata, prawdziwymi ludźmi!

Aż do następnego meczu.

Albowiem geniusz kultury nie uznaje ciągłości, równości ani jednorodności. Zapomnieli o tym Bogowie wracając na Olimp. Człowiek przejął więc ich zadania i stał się — na tę chwilę meczu — Bogom równy. Jak Maradona. Jak Jacek Ziobier.

PRZYPISY

¹ Gen. 1, 1—8

² J. M. Bocheński, *Sto zabobonów*, Paryż 1987, s. 95

³ U. Eco, *La guerre du faux*, Paris 1985, s. 239—240

⁴ D. Morris, *La tribu*, w: *L'amour foot — „Autrement”* n° 80/05.1986, s. 16—17

PS. Jacek Olędzki niewiele wie o footballu i może lepiej, żeby o nim nie pisał. Jeżeli już jednak musi, to niech przyjmie do wiadomości, że Roger Milla tańczył po bramce motyw z narodowego tańca kameruńskiego, oraz że nie istnieje piłkarz Utragenio (2 razy!) ale BUTRAGUENO!